

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.



Rok 3

CHOJNICE, dnia 1-go kwietnia 1926 r.

Nr. 13

Nawrócenie złoczyńcy w Wielki Piątek.

Tego roku — już to temu dawne lata — kiedy rozegrało się zdarzenie, o którym tu ma być mowa, święta wielkanocne przypadły bardzo późno. Dopiero około połowy kwietnia obchodzono pamiątkę zmartwychwstania Chrystusa Pana.

To też rozpoczynała się już na dobre wiosna.

Powietrze było prześliczne. Pod wpływem ciepła krzewy puszczały już zielone pędy, których rozkoszny widok napełniał serce ludzkie błogą nadzieją. Świeża trawka zroszona rankiem perłami rosy, pokrywała jak kobiercem łąki i rowy przydrożne. A tu i owdzie różowo białe stokrotki wychylały jakby watydlawie swe śliczne główki. Zda się, chciały sprawić szczerą uciechę.

Na polach uznojeni pracą włościanie to kończyli orkę na swych poletkach, to na innych działkach dłońmi swymi rzucali garście ziarnia. Każdy się spieszył, by się nie spóźnić. Inaczej mogłyby sprzęty żniwne wypaść kłopsko. A biała temu, komuby dla całej rodziny w jesieni i zimie chleba zabrakło.

Młodsza dziatwa, nie chodząca jeszcze ani do szkoły, ani też, będąc do tego za słabą, by pomagać ojcu w pracy na roli, używała swobodnie ruchu na dworze. Ileż tam było gwaru i śmiechu, gonitwy i śpiewania! Bywało, że skrzętna matka młodą gromadkę nawet do jedzenia kilkakrotnie zwoływać musiała.

Tak było i w wiosce Rakowicach, położonej w szerokiej dolinie, wzdłuż wartko płynącej rzeczulki. I grały na jej powierzchni stadka kaczek, to płynąc majestatycznie z podniesionymi w górę łapkami, to zgrabnie dając nurka, aby pochwycić jakiego wodnego robaczka. Tedy owedy który z więcej swawolnych chłopców rzucał do nich kamyczkiem i mącił im pożądaną spokój i zabawę.

Ale była to psota dość niewinna, gdyż drobny kamyczek nie mógł kaczkom wyrządzić większej szkody.

Są jednak na świecie ludzie stokroć gorsi. Nie brakowało i wtedy, jak to i w dzisiejszych czasach ma miejsce, lotrów, gotowych dla marnego zysku splamić się nawet morderstwem bliźniego.

I w Rakowicach żył taki niegodziwiec. Podczas gdy reszta mieszkańców tej wioski odznaczała się uczciwością i pracowitością, Tomasz Brudnik — tak się bowiem nazywał — był wielkim niecnotą. Pracy nienawidził, rzadko kiedy do niej się zabierał, za dnia często wylegiwał leniwie, a do tego był wielkim lubownikiem gorzałczyską.

Sąsiedzi i znajomi niechętnie się z nim stykali. Każdy był rad, jeżeli spotkawszy się z nim, po zamianie kilka słów odczepić się mógł od niego. A

wszyscy dziwili się, skąd Tomasz może się wyżywić i skąd bierze pieniądze na zakupno wódki.

Nie znali oni źródła jego pokąźnego dochodu. Bo sprytny Tomasz umiał się z tem doskonale uarywać. Ale my tę tajemnicę zdradzimy.

Oto w znacznej odległości od owej wioski ciągnęły się obszarne bory. Było w nich dużo zwierzyny. Tam w porze nocnej, gdy strudzeni całodzienną pracą włościanie zażywali po skromnej wieczerzy i zmowie niu pacierzy pokrzepiającego snu, Tomasz udawał się do owych borów. POCO? Aby polować na zwierzynę lub chwycić ją żywcem w sidła. A cieszył się pod tym względem niemałym szczęściem. Zdobycz zaś swoją odstawiał żydowi Moskowi w najbliższym miasteczku. Z tego były zawsze grosze i na żywność i na gorzałkę. Więc nie dziw, że za dnia sen go morzył i dlatego właśnie tyle w domu wylegiwał.

I długo to bobrowanie Tomasz po lasach i pukania z jego strzelby uchodziły mu płazem. Ale ostatecznie „przyszła kreska na Matyska“. Gajowi zdybali go pewnej nocy na kłusownictwie, za co sąd skazał go na kilka tygodni więzienia.

Teraz wszyscy mieszkańcy Rakowic dowiedzieli się o tajemniczych dochodach Tomaszka.

On odsiedział swą karę. Nie posiadał wprawdzie wstydu, więc nie żałował tego, iż siedział w kozie. Ale gryzła go strasznie myśl, że dalsze uprawianie kłusownictwa byłoby dla niego rzeczą zbyt niebezpieczną. Bo w razie powtórnego „wypadku“ kara wypadłaby o wiele gorzej.

Jednak nie powziął postanowienia poprawy — zwłaszcza że do kościoła nie chodził, kazań więc i nauk starego zaanego plebana nie słyszał, a o Bogu nawet myśleć nie lubił.

Zamiast więc zejść z drogi występku, raczej śmiało dalej w świecie grzechów brnąć postanowił. Dalej i gorzej. Bo oto jaki sobie uknuł plan zbrodniczy!

Po wypuszczeniu z więzienia na wolność umyślił sobie w celu rabunku napaść i uśmiercić owego żyda z miasteczka, który od niego zwykle nieprawie upolowaną zwierzynę kupował.

Tomasz wiedział dobrze, że żyd jest majątny. Gdy zaś był raz w mieście po trochę żywności — no i po wódkę — zasłyszał, że Mosiek uda się nocą do większego miasta powiatowego, aby w jakiejś kasie złożyć sporą sumkę pieniędzy. A musiał jechać przez dobre mu znany las.

— To doskonała sposobność — pomyślał — dostanie się w posiadanie gotówki, która mu się prawie całkiem wyzerpała, a co mu wkrótce głodem groziło.

Aż strach pomyśleć, że chrześcijanin mógł, powziąć taki haniebnny zamiar. Bo choć żydzi są na ogół ludźmi niegodnymi i obrześcijań — albo jak oni sami mawiają — „gojów“ bez litości wyzyskują, zawsze to są ludzie i nasi bliźni, których według przykazania Bożego okradać i zabijać nie wolno.

Ale zatwardziały grzesznik, jakim był Tomasz Drobnik, nic sobie z tego nie robił.

Wyszedł już wcześniej z domu, aby w jakimś stosownym ukryciu na żyda się zacząć.

Był to właśnie Wielki Piątek.

Na rozstajnej drodze widniał krzyż z wizerunkiem Zbawiciela. Tomasz mimowoli spojrzął w tę stronę. A światło księżycy jasno oświetlało ów krucyfiks.

I odczuwało się w duszy tego, co chciał się wnet stać zbójcą, długo uspięne sumienie. Lecz zagłuszył je w sobie. Ządza łupu zwyciężyła.

Poczedł dalej. Ale jakoś już mniej rażno mu było w sercu. Kilka razy nawet się zatrzymał jakby miał nawrócić do domu. Nic z tego. Nogi poczęły mu coraz bardziej ciężać, lecz włóki się dalej i dalej.

Wtem — o dziwo! — huknął grzmot i piorun uderzył tuż w jego pobliżu w przydrożne drzewo, które rozleciało się z wielkim trzaskiem prawie na strzępy.

Tomasz stanął jak wryty.

Zdawało mu się, że oślepił od światła gronu. Nogi drżały mu jak w febrze, podobnie jak ziemia skatkiem zbyt silnego huku. Przejął go jakiś lek osobliwy.

Przeżegnał się — poraz pierwszy po wielu latach.

Pękły okowy, któremi szatan tak długo w niewoli trzymał sumienie złoczyńcy, jak w żelaznych kleszczach.

— O Boże! — wyjąkał. — A toż do dziś Wielki Piątek, pamiątka strasznej męki i okrutnej śmierci Pana Jezusa. A przecież On to i za mnie niegodnego wycierpiał!... Piorun strzął, jak przy ukrzyżowaniu Zbawiciela. I ziemia taksamo zadrżała... O zlituj się nademną grzesznym, o miłosierny Jezu!...

I gorące łzy puściły się strumieniem z oczu Tomasza Drobnika.

Nawrócił się w sam Wielki Piątek. I to szczerze — na całe życie.

Kanarek.

W klatce mizernej, ptaszyna mała,
Z ukrycia piosnkę w świat wydzwaniała,
Słodkie jej były dźwięki ochocze,
Owiały duszę trele urocze.

Wnet w sercach czarnych się obudziła —

Kruków gromada zazdrością tchnęła:

— Co taki dudek złoty nielada

Zbawcze swe trele do ludzi gada?

Przecież to marne, nikle stworzenie,

Nad innych nosi piękne odzienie,

Usunąć trzeba z powierzchni świata,

Niech nam swym śpiewem figli nie plata.

Jak uradzili, tak postąpili,

Obok kanarka klatki stanęli:

— Kra, kra ptaszyno! lepiej ci będzie

Złączyć się z nami na jednej grzędzie. —

Kanarek za to trzepnął skrzydłami,

Otworzył dzióbek, zanucił gamy,

Aż echa pieśni w niebo się wzbiły,

I miłość piękną w sercach wzbudziły.

— Tak być nie może, nie pozwalamy

Na pieśń podobną, bośmy krukami,

Popsuje łup nasz, i żerowanie,

A myśmy więksi, nam panowanie!

I małe ptasze spać im nie daje.

Wnet w czarnych sercach zemsta powstaje,

Ze pilnym okiem na wszystko baczą,

Swoim zwyciężają — jak zwykle kraczą.

Kiedy ptaszyna w gaj wyfrunęła,

Kruków gromada nań uderzyła,

Niedługo potem zemstą ścigany,

Biedny kanarek padł rozdziobany.

Wesoły kącik.

Wierny portret.

— Co pan myśli o malarzu Kosińskim?

— Oh, znowu teraz zrobił portret mojej teściowej.

Mówię panu tylko uciekać!

— Co tak źle?

— Nie, tak dobrze!

Autentyczne.

Aleksander Wielki wyrzucił raz pewnemu piratowi jego zawód.

Na to ów:

— Jestem piratem, ponieważ mam tylko jeden okręt. Gdybym miał flotę, byłbym zdobywcą.

Ważna przyczyna.

— Chciałbym prosić o pozwolenie nieprzyjścia do biura jutro.

— Jakto, przez cały dzień? A co pan ma właściwie za sprawę?

— Zenię się, więc chciałbym być przy tem.

Punkt zamarzania.

— Co to jest punkt zamarzania?

— Koniec nosa, proszę pani!

Na kaczkach.

Dwaj adwokaci z małego miasteczka zaprosili radcę sądowego na polowanie na kaczki.

Gość zmęczony bezskutecznym pościgiem, czuje głód i pragnienie:

— Nie macie co jeść?

— Nie mamy

— Niema tu w okolicy karczmy?

— Niema.

— No, ale przecież musicie mieć tu we wsi klientów chłopów, pójdźcie do którego z nich, aby nam dał choć kwaśnego mleka...

— Niemożliwe. Jeśli on jest naszym klientem, to już niema krowy...

Łamigłówka kratkowa.

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| A | 1 | | | | | |
| B | | 2 | | | | |
| C | | | 3 | | | |
| D | | | | 4 | | |
| E | | | | | 5 | |
| F | | | | | | 6 |

W sześciu rzędach oznaczonych literami: A, B, C, D, E, F, ułóż w każdym po wyrazie sześciogłoskowym. Litery, wskazane przez cyfry od 1 do 6 włącznie, utworzą nazwę króla egipskiego. Sylaby: Ber—cy—wior—man—min—lip—fur—kar—Po—to—ła—ka—Ba—ry.

Znaczenie wyrazów: A. Inaczej wóznica. B. Król polski. C. Farba. D. Naród. E. Inaczej iakra. F. Miasto.